GŁOS WARSZAWSKI

ROK X • 1936/7 • CZERWIEC • Nr. 10 (91)

Miłych
i
Wesołych Wakacyj!

REDAKCJA

S. D.

Tydzień czy Rok dziecka.

I w tym roku obchodziliśmy Tydzień Dziecka, Święto Matki. Oba święta obchodziliśmy urzędowo. Oba święta wyraziły się jedynie efektami zewnętrznymi, nic nie mówiącymi, żeśmy zrobili choć mały krok naprzód w kierunku Dziecka czy Matki jego. Jeśli nawet więcej dzieci korzystało w tym roku z jakiejś bezpłatnej imprezy, to nie znaczy wcale, że imprezy te nic nie kosztowały i że dały one właściwą propagandę Dziecka wśród dorosłych, to znaczy, wśród tych, którzy wiele mogą uczynić, aby Dziecku było lepiej, aby ono było lepsze. Bo kwestia Dziecka toczy się dwoma równoległymi torami. Jeden tor to wyboiste codzienne koleiny, w których raz w raz grzęźnie ciężki wóz z dzieciakami. Drugi tor gładki, lśniący króciutko metrażowy, zbudowany dla Tygodnia Święta Dziecka i po którym rozbijają się ci wszyscy, co zawodowo „robiący w dzieciach" (czasem honorowo, często za gotówkę).

Zawodowo „robiący w dzieciach" (autentyczne wyrażenie jednego z organizatorów imprez w Tygodniu Dziecka) nie lubią tej pierwszej drogi, bo na niej spotyka się wielkie sprawy dziecięce, sprawy, których nie można załatwić w ciągu Tygodnia i nawet w cza-

sie „świątecznej" obecności dzieci w ogrodzie zoologicznym albo na filmie ze Szczepciem i Tońciem. Bo na tej drodze leży np. problem wakacyjnego wypoczynku dziecka, wielkomiejskiego dziecka rodziców biednych.

Jaka ma być pomoc w tych sprawach, aby dziecko nie odczuwało, że jest członkiem gromady żebraczej, społecznie upośledzonej. Abyśmy my, dorośli nie oceniali owej „akcji" wg. ilości napychanych żołądków dziecięcych, lecz wg. kryteriów społeczno-wychowawczych, przyświecających akcji. W akcji niesienia pomocy Dziecku trzeba mieć na uwadze dwa momenty: kiedy i jak pomagać. Zagadnienie komu pomagać celowo pomijamy, aby nie komplikować dalszych wywodów. Otóż troska o dziecko musi być trwała, a nie sezonowo- tygodniowa; troska o dziecko szkolne musi być nasilona nie tylko w tych okresach, kiedy dziecko pracuje, ale i kiedy nabiera sił do nowej pracy. Troska ta musi mieć na uwadze nie tylko żywienie i odzież dziecka, ale całokształt warunków jego pracy szkolnej i domowej. Kogo dziś poza nauczycielem obchodzi fakt, że niedożywione dziecko męczy się nad przyswojeniem wiadomości geograficznych, przyrodniczych lub historycznych, bo o tym wszystkim tylko czyta w skondensowanych podręcznikach lub słyszy od nauczyciela o tym, co na własne oczy obejrzeć powinno. A nie obejrzy, bo nie ma pieniędzy na zapłacenie drogiego przejazdu kolejowego, tramwajowego; bo nie ma pieniędzy na oddanie hołdu naszym Wielkim, spoczywającym np. w podziemiach wawelskich, do których dostępu broni okrutny haracz pogłówny. A muzea, zwierzyńce, wystawy? A kto pomyślał o tym, żeby ten, co w szkole daje wielki skarb dziecku — wiedzę o Polsce i miłość do Niej, mógł znać tę Polskę najlepiej ze wszystkich spośród dorosłych tej Polski? Kto obliczył ile traci dziecko polskie i to właśnie najbiedniejsze dlatego, że jego nauczyciel nie może mu dać w szkole tego, co dałby chciał, a czemu stoją na przeszkodzie taryfy komunikacyjne, uniemożliwiające nauczycielowi poznawanie Polski dla celów zawodowych, jak to ma miejsce w stosunku do wojskowych.

Owszem przyjemna jest bezpłatna przejażdżka statkiem po Wiśle w „Tygodniu Dziecka", ale i dzieci i my nauczyciele chętnie zrezygnujemy z tych chwilowych przyjemnostek. Bo my czekamy na taki Tydzień, w którym naoścież otworzą się przed dzieckiem wrota do tej Polski z poza izby szkolnej, do tych skarbów wiedzy i piękna, które rozsiane są po ziemi naszej, a które chłonąc, uczniowie nasi nie

będą się czuli tylko obiektami różnych paniuś i komitetów dobroczynnych z zupami i butami, lecz poczują w sobie umiłowanie Ojczyzny.

Tymczasem dostęp do Polski z poza szkoły i podręcznika zamknięty jest przed dzieckiem na cztery spusty.

A które z wielu „komitetów" dla Dziecka zainteresowały się w jakich budynkach powinno uczyć się dziecko? Czy w budynkach tych pomyślano o kulturalnych, higienicznych urządzeniach?

Tyle co do dziecka-ucznia.

Jeśli rozpatrzymy sprawę od strony społecznej pomocy dziecku szkolnemu i nieszkolnemu, to stwierdzimy znowu niesłychany chaos na tym odcinku. Pomyślmy, ile w samej Warszawie mamy instytucyj opiekujących się dziećmi. Naturalnie, że wciąż mówimy tu o dzieciach rodziców materialnie źle sytuowanych.

Dla szeregu instytucyj materialna pomoc dziecku jest głównym ośrodkiem działania, dla innych tylko fragmentem całej działalności. Wszędzie jednak ta działalność nosi charakter raczej czułostkowej filantropii, niż racjonalnej pomocy; bo pomaganie dzieciom wciąż jest ckliwą dekoracją dla owych instytucyj czy osób. To też na pierwszy plan „społecznego" działania wysuwa się nie dziecko, ale obiekt, działający na ową korzyść dziecka. I dlatego to tak trudno choćby w Warszawie o stworzenie jednej placówki, któraby poważnie zajęła się kwestią pomocy dziecku. I dlatego to szkoły nasze tak często zatracają charakter szkół, stając się garkuchniami, punktami odzieżowymi, a nauczyciele funkcjonariuszami owych instytucyj. Są przecież szkoły wyspecjalizowane w tym kierunku, co niewątpliwie odbija się ujemnie na wynikach właściwej roli szkoły. Bo szkoła dla mnogich „dobrodziejów", płytko, z amatorska uprawiających filantropię, jest jedynym źródłem informacyj o potrzebach dziecka, choć nie zawsze jedynym rozdawcą przyznanych dziecku świadczeń. Jakiż to ogrom obowiązku i odpowiedzialności z tego tytułu spada na nauczyciela. Bo czyż on może zbadać zamożność domu dziecka, stopień niezamożności? Czy ma on kryteria do tego, aby zaofiarowaną parą butów sprawiedliwie obdarzyć jedno z kilkunastu dzieci, tych butów potrzebujących. A nauczycielowi nie wolno być niesprawiedliwym. Teoretyk powie. — „Przecież mamy opieki szkolne, klasowe". Praktyk wyjaśni: — „Nieporozumienie: ten aparat rodzicielski nie może działać bez nauczyciela czy kierownika szkoły.

A nauczyciel widzi, że z chaosu wielotorowej „opieki" społecz-

nej korzystają sprytni rodzice, wciągając w to dzieci, naszych uczniów. Fakty, że tacy rodzice potrafią zdobyć kilka par butów w różnych instytucjach i to na zaświadczenie szkoły, zdarzają się często. Bo któż ma chodzić za takimi rodzicami i sprawdzać, czy instytucja X dała im buty, a znowu ta instytucja nie uważa za stosowne powiadomić szkoły o swoim darze.

Więc też czekamy na taki Tydzień Dziecka, który sprawę niesienia materialnej pomocy dzieciom wprowadzi na właściwe drogi. Wysuwamy postulat, że sprawy te (dożywianie, odzież itp.) powinny objąć całkowicie czynniki pozaszkolne. Winno być jedno źródło orzekające, komu należy się pomoc i jedno źródło, respektujące owe kwalifikacje. Organizacja tej sprawy należy do urzędowego czynnika opieki społecznej na terenie Warszawy (Wydział Opieki przy Komisariacie Rządu i takiż wydział Zarządu Miejskiego). Instytucja opiekunów społecznych winna całkowicie przejąć tę rolę, jaką dziś obarczono nauczyciela i szkołę.

O tym scalaniu akcji pomocowej (kolonie, półkolonie) pisaliśmy już dawno i niejednokrotnie na łamach Głosu Warsz. Poczyniono pewne kroki w tym kierunku, jeśli chodzi o akcję półkolonijną (wspólna kwesta, punkty zapisowe itp.). Dalsze scalanie akcji pomocy dzieciom jest tymbardziej możliwe, gdyż gros funduszów na te cele dają władze państwowe i komunalne. Podkreślamy, że akcję tę należy przeprowadzić nie tylko ze względów finansowych, lecz i ze względów wychowawczych, o których wyżej wspominaliśmy.

A jakże długo czekamy na to, by gorliwi inicjatorzy „Tygodni Dziecka" pomyśleli o teatrze, kinie dla dzieci i to na cały rok, a nie na Tydzień, i to nie o teatrze pana Tymoteusza Ortyma, którego scenidła trącą moralizatorstwem przestarzałym, kopiowaniem teatru dla dorosłych. Sztuka dla dziecka, nawet w stolicy, nie istnieje i o tym w Tygodniu Dziecka — ani słowa nie słychać.

Może czynimy komuś przykrość, twierdząc, że dotychczasowe Tygodnie Dziecka były zabawą w sprawy dziecka, że te zabawy pochłonęły moc pieniędzy, że sprawa Dziecka nic ta na tym nie zyskała, że korzyści są b. problematyczne. I że Tydzień Dziecka nie może być czyimś wyskokiem z konopi raz do roku, lecz że może on być jedną z form propagandowych spraw Dziecka w całorocznej akcji poważnej instytucji, ogarniającej swym działaniem problem całości zagadnień dotyczących dziecka. Do takiej akcji, jako organizacja i jako jednostki chętnie staniemy.

I. M.

O wyraźny stosunek Miasta do szkolnictwa powszechnego w Warszawie.

Bynajmniej nie leży w moim zamiarze celowe atakowanie władz miejskich. Pragnąłbym jedynie naświetlić szereg spraw z całokształtu zagadnień, wypływających z obowiązków samorządu terytorialnego do szkolnictwa powszechnego w Warszawie. Szkoły, oprócz tytułu „powszechne", noszą drugi „publiczne". Wynika to stąd, że obowiązek ich utrzymywania włożony jest ustawowo łącznie na państwo i gminę (miasto). Niestety, nie ma dotąd wyraźnej prawnej granicy obowiązków, leżących na tym, czy innym czynniku. Wiadomo jest tylko, że państwo, oprócz nadzoru i kierunku naukowo - wychowawczego nad szkołami, obowiązane jest opłacać personel pedagogiczny lub pedagogiczno - administracyjny, troszczyć się o jakość, skuteczność pracy i stan zdrowotny tegoż personelu (pomoc lekarska), oraz dostarczać szkołom pomoce naukowe.

Miasto (gmina) jest obowiązane dać szkołom lokale, odpowiadające wszelkim wymaganiom dydaktyczno - pedagogicznym i higienicznym, opalać je i oświetlać. Poza tym obowiązkiem miasta jest dbać stale o stan ich czystości (dozorcy, woźni, materiały do sprzątania itp.); dostarczać kompletne urządzenia sal szkolnych (ławki, stoły, szafy) i pomocniczych (sale robót, gimnastyczne, robót ręcznych, boiska i ogródki szkolne); dbać o zdrowie i higienę dzieci szkolnych (opieka lekarsko - higieniczna, opieka społeczna, kolonie i półkolonie letnie); dostarczać mieszkań nauczycielom wzgl. wypłacać ustawowy ekwiwalent pieniężny. Jak widać z powyższego, ogólnie ujętego rzutu, na miasto (gminę) włożono gros obowiązków względem szkolnictwa powszechnego.

Ze wszystkich typów szkolnictwa, utrzymywanego przez miasto, szkolnictwo powszechne winno być otoczone wyjątkową opieką. Ten fakt pozwala na wysnucie wniosku: *czego nie daje państwo, powinna dać gmina samorządowa lub odwrotnie.*

Boć przecież wszystko musi być dane szkole, czego ona, w zakresie wykonywanych przez się funkcyj społecznych, potrzebuje. Niestety, jesteśmy świadkami ciągłego odpychania przez państwo i miasto owego „kielicha goryczy", jakim jest w tych warunkach bezpłatna szkoła powszechna. Prawie codzień na szkolnym sektorze miasta znajduje się dziesiątki zatargów o sprawy nieraz błahe, ale dla

życia szkolnego istotne. Kto powinien je załatwiać — nie wiadomo. Kierownicy szkół są odsyłani od Annasza do Kaifasza, względnie pozostawieni własnemu losowi. Dla przykładu wyliczę kilka spraw, będących stałą bolączką szkół powszechnych.

Telefony. Zdawałoby się, że w tak wielkim mieście i tak rozległym terytorialnie, jak Warszawa, telefony należeć muszą do stałego ekwipunku lokali szkolnych. Wiele spraw (władze państwowe i miejskie, Rada Szkolna, Pogotowie, Straż ogniowa i t. p.) kwalifikuje się do załatwiania telefonicznego. Niestety, pomimo, że koszt roczny wszystkich szkolnych telefonów w Warszawie nie przekroczyłby 60 tys. złotych, Zarząd Miejski nie chce uznać tej pozycji za swoją. Ale ponieważ telefony są koniecznością społeczną, opłacają je nauczyciele i opieki rodzicielskie, oczywiście kosztem ubogiej dziatwy szkolnej.

Drobne naprawy. Drobne uszkodzenia mebli szkolnych, kluczy, zatrzasków, kranów i t. p. zdarzają się prawie codzień we wszystkich instytucjach. Zdarzają się rzecz naturalna i w szkołach, gdzie jest przecież młodzież, a nie manekiny. Natychmiastowa naprawa powoduje unikanie poważniejszych strat. Niestety, Zarząd Miejski kierownikom szkół nie asygnuje od kilku lat na cel wspomniany żadnych kwot, a domaganie się drogą korespondencji naprawy i termin jej wykonania sprawia nieraz sporo niedomagań w szkole. Poważniejsze uszkodzenia są również wykonywane z dość dużym opóźnieniem. Moim zdaniem, oddanie kilku firmom stałej konserwacji urządzeń wodociągowo- kanalizacyjnych, robót stolarskich, ślusarsko-monterskich, szklarskich i t. p. odciążyłoby zarówno szkoły, jak również urzędników miejskich, którzy stale tłumaczą się wyczerpaniem kredytów.

Tego rodzaju rozwiązanie sprawy przyniosłoby niewątpliwie obopólną korzyść i nawet dawanie ryczałtów na drobny remont uczyniłoby zbytecznym, gdyż telefon do właściwej firmy wystarczyłby, aby naprawa została uskuteczniona.

Szyby. Od czasu do czasu zostaje zbita w szkole szyba przez nieuważne czy swawolne dziecko. Kwotę należną nie zawsze można ściągnąć od winowajcy, ponieważ jest biedny, albo rodzice zapłacić nie chcą, a szkoła nie ma prawnej egzekutywy dla ściągania należności. Któż zatem ma płacić za zbite szyby? Zarząd miejski nie posiada na ten cel przewidzianych kredytów. Ale szyby być muszą. Więc znów płaci Opieka rodzicielska.

Remonty lokali szkolnych. Są w Warszawie lokale szkolne nieodnawiane gruntownie od kilku lat. Przeważnie są to lokale wynajęte, ale przecież dzieci uczą się w nich te same, co w lokalach własnych. Sądzę, że należałoby ustosunkować się do wszystkich szkół jednakowo, z jednakową pieczołowitością. Wiele ujemnych spostrzeżeń dałoby się wyłowić co do jakości remontów. Panuje tu wszechwładnie system „łańcuszkowy". Jeden „grubszy" przedsiębiorca obejmuje remont kilkunastu lub więcej szkół. Zamiast angażować własnych majstrów i rzemieślników, odstępuje robotę mniejszym przedsiębiorcom, ci z kolei jeszcze mniejszym, oczywiście po coraz niższej cenie. W rezultacie pracę wykonywuje rzemieślnik za kwotę kilkakroć niższą, niż zgodził się główny przedsiębiorca. Rzecz prosta, że jakość i ilość wykonanej pracy na tym nie zyskuje.

Ryczałty gospodarcze. Kierownicy szkół dwa razy do roku otrzymują t. zw. ryczałty na utrzymanie porządku i materiały piśmienne. Z kwot otrzymanych obowiązani są zakupić wszystko, co jest niezbędne dla utrzymania czystości w lokalu szkolnym (szczotki, ścierki, pastę, pyłochłon, mydło i t. p.) oraz materiały piśmienne (atrament, kreda, materiały kancelaryjne). Sumy asygnowane przez Zarząd Miejski są przynajmniej o 30—40% za małe. I znów dokładać musi Opieka rodzicielska.

Materiały do robót ręcznych i laboratoryjnych. Najpierw słów parę o pracowniach robót ręcznych. O ważności wychowawczej i praktycznej robót ręcznych nie trzeba nikogo przekonywać. Jednak do postawienia pracowni na należytym poziomie, potrzeba zarówno urządzeń stałych (strugnice, imadła, maszyny do szycia i t. p.), jak również materiałów, z których uczeń coś konstruuje. Potrzebne są zatem znaczne ilości desek, dykty, tektury, papierów, kleju, piłek, młotków, dłut itp. Na to wszystko bezpłatna szkoła powszechna nie posiada żadnych funduszów. Trochę wpływa z dobrowolnie wpłacanych drobnych składek, ale dzieci najbiedniejsze nie posiadają prawie żadnych możliwości przerobienia programu. Czynniki miejskie, a w szczególności czynniki Opieki Społecznej, powinny jednak wejrzeć w tę sprawę i dać szkołom niezbędny materiał w naturze, bądź w gotówce. Szkoły same nie znajdą wyjścia z tej sytuacji. To samo da się powiedzieć i o innych pracowniach. Laboratoria chemiczne, fizyczne, biologiczne potrzebują stałych dotacyj, zarówno na wydatki bieżące, jak na konserwacje. I znów szkoły na ten cel pieniędzy nie posiadają. Ale pieniądze być muszą, boć przecież trudno sobie wyobra-

zić, aby szkoły chciały zniszczyć własny, krwawym trudem zdobyty dorobek naukowy. W jaki przedziwny sposób szkoły sobie radzą, nie każdy się interesuje, ale każdy obywatel chciałby widzieć szkoły idealnie urządzone, piękne, aby móc je pokazywać gościom zagranicznym.

Wycieczki szkolne. Programy przewidują urządzanie wycieczek naukowych, krajoznawczych, historycznych i in. jako obowiązkowe. I słusznie. Podróże kształcą. Zresztą wiedzą o tym ci, którzy odbywali wycieczki po kraju lub zagraniczne. Ale prowadzenie wycieczek w Warszawie nie należy do rzeczy łatwych, zwłaszcza, mając kilkudziesięciu uczniów i kulkukilometrowe odległości do przebycia. To też piesze wycieczki mogą być urządzane tylko bardzo blisko od szkoły. Natomiast na dalsze odległości potrzebne są tramwaje, autobusy i kolejki. To wszystko jest wiadome. Ale wypływa znów nieszczęsna sprawa kosztów. Za środki lokomocji należy słono, jak na kieszenie dziatwy, płacić. Jeden przejazd np. z Grochowa do Belwederu, lub na Wolę i z powrotem wyniesie, licząc najtaniej 60 groszy. Przeszło 50% dzieci szkół powszechnych nie jest w stanie takich kosztów ponosić, więc zostaje w domu i nic się nie uczy. Nie poznaje pomników Warszawy, jej urządzeń, muzeów itp. Nie jest to zgodne z wymogami nauki, wychowania i sprawiedliwości społecznej. Tramwaje lub inne środki lokomocji dla wycieczek szkolnych *muszą, niestety, być dostępne*, jeżeli szkoła, jako instrument wychowania społecznego, ma dobrze spełniać swe obowiązki. Miasto, przypuszczam, może się zdobyć na kilkanaście własnych autobusów wycieczkowych, lub kilka par wagonów tramwajowych dziennie, przeznaczonych *dla dzieci.* Tak samo powinny być bezpłatne wstępy do Zoo, na wystawy i do muzeów. Kiedyż mamy szerzyć wśród młodzieży kulturę, jeżeli w szkole tego czynić nie będziemy?

Społeczeństwo i władze w pierwszym rzędzie powinny udzielać szkołom takiej pomocy, aby te mogły sprostać zadaniom. Ale nie będzie chyba dobrze, jeśli cały ciężar moralny i materialny zwalać się będzie wyłącznie na nauczycieli.

Budownictwo szkolne. Ta sprawa jest jedną z najważniejszych i niejednokrotnie poruszana na zebraniach i w prasie. Dać dzieciom gmachy szkolne, dobrze wyposażone dla celów naukowych i wychowawczych, to marzenie i dążenie wszystkich uświadomionych obywateli, interesujących się szkołą i młodzieżą. Warszawa potrzebuje jeszcze wiele gmachów szkolnych, boisk, ogródków, ale i te,

które zostały oddane do użytku mają szereg niedociągnięć. Gmachy szkolne są projektowane i budowane przez architektów bez zapytania o opinię nauczycieli, jako czynnika w tym wypadku zawodowego. Szpitale, sanatoria, kościoły są projektowane i budowane po uzgodnieniu z lekarzami lub duchownymi. Jest rzeczą konieczną, aby w każdym budynku o celowym przeznaczeniu wydawał opinię specjalista danego zawodu. Tak samo i przy budowie szkół i zakładów wychowawczych czynnik nauczycielski nie może być pomijany. Współpraca architekta z nauczycielem napewno wyjdzie na pożytek szkole.

Inne zagadnienia i potrzeby. Jest ich jeszcze dużo, bardzo dużo. Niektóre leżą odłogiem od lat kilkunastu, i nie sposób je w tym artykule wyliczyć. Na razie te, które podałem, wystarczą jako ilustracja potrzeb i bolączek szkolnictwa warszawskiego, a których rozwiązanie w znacznej części lub całkowicie leży w możliwościach Zarządu m. st. Warszawy.

Miasto w stosunku do potrzeb i wymagań szkolnictwa powszechnego winno ustosunkować się nadal pozytywnie i rzeczowo, ale z większym uwzględnieniem konieczności doprowadzenia stanu tych szkół do norm godnych stolicy Rzeczypospolitej. Szkoły powinny mieć zagwarantowaną w budżecie miasta swoją żelazną pozycję, od której nie wolno robić odchyleń in minus. Podział obowiązków między państwem i gminą powinien być również co rychlej uskuteczniony. Szkoła (młodzież i nauczyciele) pragnie mieć w swym życiu codziennym przeświadczenie, że tam, w górze władze otaczają ją troskliwą, czujną i życzliwą opieką.

Wysunięte pod adresem władz miejskich bolączki szkolnictwa powszechnego nie oznaczają bynajmniej twierdzenia, że Miasto nie troszczy się o to szkolnictwo. Owszem, troszczy się i to wydatnie, My, jednak, ze swej strony chcielibyśmy pogłębić tę troskę, zainteresować gorąco sprawami, które wysunęliśmy. Być może, takie sprawy, jak opłaty wycieczkowe (tramwaje, muzea itp.) ureguluje Miasto z odpowiednimi władzami szkolnymi, które mogą uznać, iż muzea, ogrody, pomniki to są pomoce naukowe, a dostarczanie „pomocy" należy do obowiązków władz państwowych.

Poruszone wyżej kwestie przedstawione były niedawno p. dyr. Wydziału IX, dr. J. Biłkowi przez delegację Zarządu Oddziału Warszawskiego Z. N. P.

BAT

„Trudne dzieci trudnych rodziców".

Świadomie zapożyczyłem tytułu z artykułu kol. F. Lewandowskiego z Nr. 8 (89) „Głosu Warszawskiego", gdyż chodzi mi o dorzucenie kilku uwag na powyższy temat.

Obecnie dzieckiem w wieku szkolnym interesują się trzy czynniki: 1) dom, 2) nauczyciel—rozmyślnie używam terminu nauczyciel, a nie szkoła, co będzie uzasadnione na podstawie dalszych wywodów i 3) przełożeni nauczyciela. Co robi każdy z tych trzech czynników w kierunku wychowania dziecka? Przede wszystkim zastrzegam, że będzie tu mowa wyłącznie o dzieciach i rodzicach wymienionych w tytule. Otóż rodzice stawiają wymagania w stosunku do nauczyciela, a przełożeni... też. Jedni i drudzy wymagają wprost cudów od nauczyciela i uważają się za powołanych wyłącznie do kontrolowania wyników nauczania i wychowania, gdy tymczasem nauczyciel odpowiedzialny jest za wszystko i za wszystkich. Za wszelkie karygodne wykroczenia uczniów, za niezadawalające wyniki z nauczania, za złą frekwencję w klasie, za brudy (wszy, gnidy) itp., za wszystko to odpowiedzialny jest tylko i tylko nauczyciel. Biada nauczycielowi, który nie umie lub nie może ukryć wad i niedociągnięć, wypływających nie z jego winy: czeka go niedostateczna ocena, czasem dyscyplinarka i zwolnienie, złamanie życia. Co to kogo obchodzi, dlaczego dziecko źle się uczy, choć nauczyciel wyczerpał wszelkie środki, stosując najlepsze rady najmądrzejszych pedagogów? Co to kogo obchodzi, że w klasie jest czasem kilku złodziejaszków? Jest od tego nauczyciel, żeby ich umoralnił. No, a jeżeli w klasie trafi się chłopczyk, którego głównym zajęciem jest rozbijanie innych dzieci i wprost znęcanie się nad słabszymi, to też nauczyciel, uzbrojony w anielską cierpliwość i stosujący wyłącznie anielskie metody, ma go wychować na aniołka.

Że nauczyciel dowie się, że jest „dozorcą", bo uparł się wytępić wszy i gnidy, że czasem usłyszy parę „swojskich" słów za to, że śmiał zwrócić rodzicom uwagę na zbyt „długie rączki" synalka, to to wszystko będzie mu zapisane w księdze „wieczystej" i policzone na sądzie ostatecznym, bo arkusz spostrzeżeń i arkusz kwalifikacyjny służą do innych celów.

Że w wymienionych arkuszach opisuje się nie tylko „belki", ale w braku tychże nawet najmniejsze „pyłki" na niekorzyść nauczyciela, to wiadomo. Czy jednak zapisywane są wypadki trudnych wa-

runków pracy nauczyciela? A czy to nie świadczy właśnie o zainteresowaniu przełożonych warunkami pracy nauczyciela-wychowawcy? No, a niechno który z pp. kierowników napisze zbyt dobrze w arkuszach spostrzeżeń, to może się narazić na pytanie: czy u pana naprawdę jest wszystko dobrze? Niebezpiecznie... i, lepiej nie ryzykować.

Czy nauczyciel ma tylko ucznia wychować? Żeby tylko... Ma on też uświadomić i wprost wychować rodziców powierzonych sobie dzieci. Rodziców niedbałych — ma zachęcić do opieki nad dzieckiem, złych — sprowadzić na dobrą drogę. Nauczyciel powinien być takim mocarzem, a zarazem czarodziejem, by potrafił uchronić dzieci od złych wpływów domu; domu, w którym kwitnie złodziejstwo, paserstwo, pijaństwo, prostytucja lub inne podobne „cnoty". Ten mocarz - czarodziej ma zapewnić i takiemu dziecku opiekę, którego rodzice rozeszli się i takiemu też, które żyje w najgorszej nędzy. Jeden tylko nauczyciel ma o tym wszystkim wiedzieć, ale on też ma wszelkie zło naprawić, wytępić, a w najgorszym razie tak ukryć, żeby czasem nie popsuć władzy mniemania o idealnym stanie.

Ale dość tego. Mało jest narzekać — należy przystąpić do działania, do naprawy. Naprawiane i wytępione zło będzie dopiero wtedy, gdy się zdejmie część odpowiedzialności z barków nauczyciela i przerzuci na rodziców i na dotychczasowych kontrolerów pracy szkolnej.

Do odpowiedzialności za wychowanie musi być pociągnięte całe społeczeństwo z prasą na czele, z tą prasą, która przemawia zwykle w imieniu opinii publicznej i to do odpowiedzialności nie tylko moralnej, ale faktycznej, prawnej, obostrzonej wszelkimi rygorami. Jeśli chodzi o prasę, to ta mogłaby spełnić wielkie zadanie w dziedzinie wychowawczej, uświadamiając ogół rodziców, a jednocześnie wytykając ich błędy i usterki.

O braku uświadomienia ludzi dorosłych, starszych, świadczą liczne przykłady, z których dwa pozwolę sobie na tym miejscu przytoczyć. Pewnego razu na ulicy zauważyłem, jak kilku chłopczyków zabawiało się strzelaniem z proc do lamp ulicznych. Jak się potem okazało, byli to już uczniowie szóstej klasy szkoły powszechnej. Otóż zatrzymałem ich i chciałem tylko wylegitymować, by móc powiadomić szkołę o ich wyczynach. Niestety, nic nie mogłem zrobić, gdyż momentalnie zebrał się koło mnie tłum przygodnych przechodniów, który przyjął wrogą postawę, że następnie sam ledwie wyplątałem się

z przykrej sytuacji. A więc wolno łobuzom na ulicy broić — nie wolno natomiast zabronić im tego. A czepianie się tramwajów... Poza policją i tramwajarzami rzadko znajdzie się ktoś starszy, kto występuje czynnie przeciwko postępowaniu małych uliczników. Większość przechodniów patrzy najczęściej obojętnie na podobne wyczyny, a jeżeli się czasem zainteresuje, to tylko po to, by podziwiać odwagę, spryt i zwinność malców.

Otóż w takich wypadkach, jak powyżej wymienione, prasa, która mieni się być opinią publiczną ma wielkie pole do działania. W kwestii uświadamiania mogliby zdziałać wiele także i ci, którzy dążą — choć bezskutecznie — do monopolu w dziedzinie wychowania.

Ponieważ pewna część prasy, goniąc za tanią sensacją i łatwym zyskiem nie poczuwa się do tego obowiązku obywatelskiego, należy ją do tego zmusić. Wszelkie zawody i organizacje zobowiązać do konkretnej pracy na polu wychowawczym. Należy komunikować publicznie wszelkie dodatnie i ujemne wyniki tej pracy i to dla jednych będzie zachętą i nagrodą, innych zaś zmusi do wejścia na dobrą drogę.

Ileż to razy słyszy się narzekania na szkołę, czy na nauczyciela, że źle wychował ucznia, który komuś dokuczył. Nie mówi się jednak wcale lub bardzo mało o tych, którzy istotnie ponoszą odpowiedzialność za wychowanie w bardzo wielu wypadkach. I to znowu jest jedną z dowodów niesłusznego obarczania odpowiedzialnością jednej tylko strony, a mianowicie nauczyciela.

Jeśli chodzi o przełożonych nauczyciela, którzy w wielu wypadkach znajdują się wyłącznie w roli kontrolerów, a nie pedagogów, to należy od nich też zażądać pracy pozytywnej, prawdziwie twórczej, a pracą taką wykażą się wówczas, gdy w pierwszym rzędzie poznają źródła zła, gdy następnie wykażą się dobrą i celową radą i pomocą, udzieloną nauczycielowi. Zanim ci przełożeni będą mogli zastosować się do właściwej roli, to najpierw muszą się pozbyć nieufności w stosunku do podwładnych, sami zdobyć zaufanie, oduczyć się ciągłego egzaminowania wykwalifikowanych nauczycieli, a w pierwszym rzędzie pozwolić na dyskusję z nauczycielem, czy to w kancelarii szkolnej, czy też na konferencjach rejonowych. Przecież stary i doświadczony praktyk - pedagog, jakim jest bez wątpienia każdy przełożony nauczyciela, nie ma czego obawiać się swobodnej dyskusji, która na pewno przyniesie pożytek obu stronom, a przede wszystkim samej sprawie.

Ważną rzeczą w dzisiejszej szkole jest karność. Zły uczeń może

pozwolić sobie na wszystko, co go rozzuchwala jeszcze bardziej, gdyż wie, że żadnej odpowiedzialności za to nie poniesie, gdy tymczasem jego opiekun - wychowawca obwarowany jest wszelkimi paragrafami i karami. Dzisiejszą swobodę ucznia w szkole można chyba tylko porównać do dawnych swobód szlachty w stosunku jej do przełożonych z urzędu. Czyżby tradycja tu odegrała pewną rolę? Czyż nie widzimy, że skutki tego objawiają się często już w szkole średniej, a szczególniej jaskrawo w szkołach wyższych, gdzie przybierają wręcz fatalne rozmiary, gdzie młodzieniec już nie tylko ignoruje polecenia, czy rozkazy przełożonych, ale wprost występuje przeciwko nim czynnie?

Należy pamiętać i o tym, że na nic nie zdadzą się najlepsze chęci, polecenia, czy zarządzenia, jeżeli nie wyrwie się dziecka ze złego środowiska. W wielu wypadkach wystarczy szkoła specjalna, a jednocześnie prawem zastrzeżony nacisk na rodziców (którego obecnie brak zupełnie). Są jednak i takie wypadki, że podobne rozwiązanie sprawy już by nie wystarczało i tu należałoby wprost dziecko wyrwać ze złego środowiska i zapewnić mu opiekę w domu wychowawczym, ale w takim domu, który by mógł takiemu dziecku dać ciepło rodzinne, którego naprawdę nigdy nie zaznało. Posłużę się przykładem. W pewnym wypadku — autentycznym — dwoje dzieci znajduje się w przytułku. Matka im umarła. Ojciec żyje, lecz uciekł od nich i choć zarabia możliwie, to jednak dzieciom nie pomaga, przytułku nie opłaca, a wszystkie pieniądze przepija. Czy nie należałoby zmusić takiego ojczulka do świadczeń na rzecz własnych dzieci? Czy nie celowym bv było odbierać zdeprawowanym rodzicom ich dzieci, a ich samych zmuszać do świadczeń na rzecz zakładów wychowawczych? A czy pozostawianie opuszczonych, zaniedbanych dzieci na pastwę losu nie przynosi uszczerbku państwu i społeczeństwu? Słyszy się często głosy, że brak na to pieniędzy. A skąd się biorą pieniądze na te same dzieci, gdy dorosną i staną się wyrzutkami społeczeństwa? Muszą być pieniądze na powiększanie kadr policyjnych, na prokuratorów, sędziów, na więzienia, niech znajdą się i na opiekę nad dzieckiem. To zupełnie jest podobne do walki ze skutkami choroby zamiast z jej przyczynami. Zapobiegać, a nie leczyć — oto pierwsza i najważniejsza dewiza państwa i całego społeczeństwa. Jeżeli mowa o złych dzieciach, to ktoś może powiedzieć, że to są wyjątki w stosunku do całości. Otóż takiemu należy tylko przypomnieć przypowieść o jednej owcy zarażonej i skutkach dla stada, w którym się znalazła, a myślę, że ten argument

wystarczy. Zresztą samo życie dostarcza zbyt wielu przykładów i dlatego zbytecznymi wydają mi się wszelkie przekonywania i dowodzenia.

Na zakończenie należy wspomnieć o jeszcze jednej wadzie. Oto nie wiadomo z jakich powodów ukrywa się wstydliwie wszelkie zło, przecież takie postawienie sprawy tylko sprzyja jego rozwojowi. I tu znowu wystarczy jeden tylko argument: lekarz, zanim przystąpi do leczenia, względnie do zapobiegania, musi najpierw odkryć źródło, czy też przyczynę choroby. Z tego założenia wychodząc, należy choć ze smutkiem, lecz z odwagą wyjawiać wszelkie źródła i przyczyny zła w dziedzinie wychowania, by tym skuteczniej przystąpić do walki z nimi.

W. WR.

O właściwą formę pomocy dzieciom.

Dzieci szkół powszechnych stolicy, nie wiem, jak jest w innych miastach i ośrodkach, są wielce uprzywilejowane.

Otrzymują wszystko, czego potrzebują.

Z chwilą wstąpienia do szkoły powszechnej dziecko, o ile jest biedne, dostaje ubranko, książki i należne pomoce: zeszyty, ołówek, pióra itp. W południe otrzymuje śniadanie, które przynoszą zamożniejsze dzieci, potem idzie na obiad do Kuchni Rejonowej, prowadzonej dawniej przez Radę Szkolną, a obecnie przez Stołeczny Komitet Pomocy Dzieciom i Młodzieży.

Na „Gwiazdkę" szykuje się biednym dzieciom paczki żywnościowe i podarunki. Na Wielkanoc również przygotowują się podarunki wielkanocne.

W tym roku poza paczkami urządzono w szkole z funduszu Komitetu Stołecznego „luksusowe" święcone. Między innymi dzieci dostały pomarańcze i czekoladowe jajka z firmy Fruzińskiego.

Te rzeczy uważam za zbytkowne, jeśli porównamy biedę dzieci z Polesia czy Kresów Wschodnich, albo innych ubogich gmin wiejskich, gdzie dzieci nie jadły nigdy białego chleba i nie skosztowały z cukrem herbaty, czy kawy zbożowej.

Latem dzieci są wysyłane na kolonie i półkolonie, organizują się piękne obozy wędrowne dla kończących szkołę, ale wszystko.... bezpłatnie.

I tu nasuwa się smutna refleksja. Co z tego małego „jałmużniczego“ światka wyrośnie.

Gdzie ich wysiłek, w jakich dążeniach i celach się przejawi?

Od dziecka wszystko podane, we wszystko zaopatrzone; rodzice przyzwyczajeni do tych dobrodziejstw nie chcą o dzieciach myśleć — wszystko za nich robi szkoła.

Wytwarza się przykra sytuacja w szkole.

Dzieci wyczekują na wiadomości, co dostaną za darmo.

Dziecko — tę drogą przyszłość narodu — należy istotnie otoczyć całym sercem, ale stwarzać masowe zastępy jałmużników uważam za problem wielce niebezpieczny.

Już są, i to przypuszczam, w każdej szkole, tacy spece, co odsprzedają za 5 czy 10 groszy kartki na obiady, a za te pieniądze kupują papierosy czy łakocie. Byłam świadkiem, jak dzieci po święconym odsprzedawały pomarańcze i jajeczka czekoladowe zamożniejszym dzieciom, które zawsze mają przy sobie pieniądze.

To rozpieszczanie dzieci utrudnia wielce pracę nauczyciela.

Organizując wycieczkę naukową, napotyka się na niebywałe przeszkody. Słyszy się odpowiedź, nie mamy pieniędzy na tramwaj i bilet wstępu — wprost domagają się darmochy.

O dalszych wycieczkach krajoznawczych nie można teraz marzyć. Dzieci czekają wraz z rodzicami, aż szkoła o tym pomyśli i wszystko załatwi, czego dawniej nie było.

Na każdym kroku napotyka się nieprzyjazne stosunki. Władze szkolne zabraniają wszelkich zbiórek i organizowania imprez, rodzice, wiedząc o podobnych zarządzeniach, nie chcą się przyczynić sami swoją kieszenią.

Szkoła jest bita ze wszystkich stron, tego nie można, tamtego nie wolno. Z niczego robić wszystko — zatrudno.

Zabawy zabronione, bo gdzieś 2 pijanych osobników zakłóciło spokój, zorganizowanie przedstawień napotyka na tyle formalności, że się wszystkiego można odrzec, loterii fantowej nie wolno organizować. Zakup cyrku czy kina wobec zakazu sprzedaży, a i braku czasu przez nauczycieli, chybia celu. I nie można poprowadzić dalszej wycieczki, gdyż brak pieniędzy. Jak się wyłowi, począwszej od 5-ej klasy do 7-ej włącznie 30 dzieci na wycieczkę — to szkoła jest dumna z tej wielkiej ilości. Oczywiście pojechałoby 300 dzieci, gdyby za nie zapłacić.

A teraz obozy harcerskie. Formalna udręka. Owszem, rodzice

łaskawie zezwolą jechać dzieciom na cały miesiąc na obóz, ...ale... niech szkoła zapłaci.

To, że cały miesiąc dziecko będzie żywione — to ich nie wzrusza, kto za to zapłaci.

Zatrważające rzeczy.

Podnoszę głos, bo z kilkunastoletniego doświadczenia widzę coraz smutniejsze obrazy. Im dziecko starsze, tym większe ma wymagania dla siebie, wszystko mu dać i to ze szkoły, nic z domu.

Komitet Stołeczny, mający pieczę nad dzieckiem, winien głęboko rozważyć swe poczynania. Mając duże fundusze do dyspozycji, należałoby racjonalnie nimi zarządzić. Po co okólnik, by dzieciom pod koniec roku dawać zeszyty, ołówki itp. Po co szkoły mają się zrzekać lub na jesień makulaturę przechowywać. Tego dzieci nie potrzebują.

Po co na przyjęcia do Komunii Świętej dawać subsydia?

Dobrodziejstwa przechodzą swą miarę, sięgają po luksus, a Polska na to za biedna.

Co wyrośnie z tych dzieci? Żądać będą wszystkiego od wszystkich, ale nic z siebie nie dadzą.

Już obserwujemy, że dzieci najwięcej obdarzane, są najniegrzeczniejsze, najgorzej się uczące; one stanowią ów trudny element w pracy, one chcą jak najdłużej, bodajby do 17 roku życia przebywać w szkole i są wielkimi nieukami.

Zerwijmy z masową jałmużną, to zabija ambicję i godność maleńkiego człowieczka, jakim jest uczeń w szkole, odrzućmy precz żebracze torby, tak skwapliwie szykowane przez matki, że aż wstyd patrzeć. Zapewnijmy zdrową formę bytu już tym małym obywatelom.

Tam, gdzie jest ta istotna bieda, dać należytą pomoc, dać rodzicom pracę, a jeśli niedołężni, chorzy, wtedy dawać rodzicom odpowiednie subsydia, zobowiązując rodziców do należytej troski o dziecko. Niech ono w domu zje obiad, niech mu matka kupi ubranko, książkę, niech dziecko doświadczy dobra rodzinnego, a nie społecznej jałmużny — to podniesie charaktery, wzmocni ich tężyznę i podniesie walory rodzinne, tak ginące w dzisiejszych czasach.

A więc najzdrowsza forma — to praca dla rodziców naszych dzieci, a nie rokroczna jałmużna. Wówczas i rodzice należycie uszanują swój dom i szkołę, a przez to staną się pełnowartościowymi obywatelami swego państwa, zaznając w nim ludzkiego traktowania.

J. B.

Błędne kółko higieniczne i potęga statystyki

Na korytarzach i w salach szkolnych spotkać można co jakiś czas panią w białym fartuchu. Widok jej wzbudza w dzieciach niepokój ze zrozumiałych względów. Przecież to pani higienistka. Jakież jest jej zadanie w szkole? Sądzę, że na to pytanie najlepiej odpowiedzą przykłady.

Pewnego dnia do szkoły przychodzi p. inspektor. W jakiś czas po wizytacji wychowawczyni zwizytowanej klasy czyta w swoim arkuszu spostrzeżeń, między innymi, taką uwagę: dzieci brudne. Ano, jeżeli były brudne, to chyba słusznie „dostało się" za to pani wychowawczyni. Przecież ma nie tylko uczyć — ma też i wychowywać. Przecież zagadnienie czystości i zdrowia ujęte zostało aż w kilku przedmiotach nauczania. Jak jednak zrozumieć podobną uwagę w arkuszu spostrzeżeń, jeżeli właśnie owa wychowawczyni poświęca bardzo wiele czasu i wysiłków zagadnieniu czystości, jeśli w jej klasie mydło i ręcznik stale są pod ręką i często są używane przez dzieci?

Pani wychowawczyni na zebraniach rodziców nawołuje do przestrzegania i do przyzwyczajania dzieci do czystości. Chcąc wytępić w klasie wszy i gnidy, organizuje w szkole generalne czesanie, do którego angażuje do pomocy matki bardziej uświadomione i przestrzegające czystości. Na szczęście — dzieci czyste! Po kilkunastu dniach... we włosach i bieliźnie znowu wszy i gnidy. Dlaczego? Bo dom dziecka jest zawszony i wysiłki wychowawczyni nic tu nie pomagają.

Spotykam białą panią na korytarzu i rzucam zdawkowe pytanie: Co słychać? — Ach, u pana X dzieci są na ogół czyste, ale u pana Y niesłychane brudy... Hm...! Tam pan inspektor—tu pani higienistka... Opiniodawcy z jednej strony — z drugiej wychowawca. Tamci kontrolują — ten odpowiada.

W klasie odbywa się badanie czystości dzieci. — Proszę pana, ta dziewczynka ma we włosach wszy. — Pani będzie łaskawa dać jej kartkę na Spokojną. — Nie mogę. Kartkę dać wolno tylko wtedy, gdy wszy są w bieliźnie. — Proszę pana, ten chłopiec ma wszy w bieliźnie. — Proszę dać dartkę na Spokojną. Poszedł na Spokojną. Tam go wykąpali i ubranie mu zdezynfekowali. Po powrocie do domu wszy od taty, mamy i rodzeństwa szturmem rzuciły się na odświeżoną skórę. Podobno one też lubią trochę czystości, a raczej nieużytkowane tereny. Tybetańczycy o tym wiedzą, to też nie kąpią się przez całe

życie. Oni wiedzą, że czystość jednego osobnika z rodziny nic nie pomoże, to też wolą na swej skórze hodować warstwę brudu, która ich znakomicie chroni przed natarczywością robactwa. Wprawdzie my w Tybecie nie żyjemy, ale cóż począć, kiedy władza pani higienistki do domu rodziców nie sięga.

W szkole wielkie zdarzenie... jutro kąpiel. Ostatnim razem była miesiąc temu, a czasem i dwa, ale dobre i to, byle dzieciaczki wiedziały, że takie coś też należy od czasu do czasu robić. Część stara się od kąpieli wykręcić. Gromadka jednak poszła. Poszedł też i Józio, który jest zawsze czysty. Po kąpieli... w ubraniu znalazł wesz.

W pokoju lekarskim piętrzą się stosy wypełnionych przez panią higienistkę arkuszy.

Rok szkolny skończony. Pewnego dnia Miejski Wydział Zdrowia za pośrednictwem prasy ogłasza, że w publicznych szkołach powszechnych jest 40% dzieci zawszonych. Całe szczęście, że panie higienistki prowadziły skrupulatną statystykę, gdyż inaczej opinia publiczna nic by o tym nie wiedziała. To nawet tanio wypada, gdyż każda z pań higienistek ma powierzoną pieczę nad *wieloma* (!!) *szkołami*. Ciekawe, jaki jest procent zawszenia w bieżącym roku szkolnym? I czy nadal kręcić się będziemy w tym błędnym kółku higienicznym?

MARIA GRZYWAK-KACZYŃSKA

Z Komisji Opieki Psychologicznej nad Dzieckiem przy Inspektoracie Szkolnym Miejskim w Warszawie.

Komisja ma na celu inicjowanie i uzgadnianie różnych poczynań, zmierzających do roztaczania opieki psychologiczno - społecznej nad dziećmi szkolnymi. Zgodnie z tym dąży do wytworzenia współpracy między czynnikami opieki psychologicznej, a czynnikami opieki społecznej, działającymi na terenie Warszawy.

Komisja podjęła dotąd następujące sprawy: 1) zracjonalizowania akcji zapisów szkolnych i akcji odraczania dzieciom obowiązku szkolnego; 2) w związku z tym roztaczanie opieki nad dziećmi odroczonymi przy zapisach, jak również nad dziećmi, które, po dostaniu się do szkoły, okazują się niedostatecznie dojrzałe szkolnie;

3) opieki nad dziećmi „trudnymi" i w związku z tym sprawą selekcji dzieci do szkół dla moralnie zagrożonych, oraz sprawą organizacji szkolnictwa dla dzieci tego typu.

Akcję zracjonalizowania zapisów do szkół i roztaczania opieki nad dziećmi odroczonymi od obowiązku szkolnego Komisja prowadzi już piąty rok. Ma ona na celu podniesienie wartości materiału dziecięcego, dostającego się do szkoły. Wykorzystuje się w tym celu okres pięciu mięsięcy, dzielących zapisy szkolne od rozpoczęcia roku szkolnego, dla poprawienia stanu fizycznego i umysłowego dzieci, które tego potrzebują (dzieci warunkowo odroczone) przez roztoczenie nad nimi różnych form opieki: leczenie, dożywianie, półkolonie. Dzieci odroczone bezwarunkowo, to jest na rok, skierowuje się poza tym do badania psychologicznego (do Instytutu Pedag. Specj.) na podstawie którego są pomieszczane czy to w szkołach specjalnych, czy też w przedszkolach, albo ewentualnie w szkołach normalnych, jeśli ich rozwój umysłwy okazuje się wystarczający.

Drugi etap — to opieka nad dziećmi, które po dostaniu się do szkoły, okazują się niedostatecznie dojrzałe do pełnienia obowiązku szkolnego. Dzieci, które od samego początku swego pobytu w szkole, nie dają sobie rady z nauką, nie mogą się przystosować do szkoły w sposób prawidłowy. Od tego przystosowania zaś zależy ich cała kariera szkolna, no i w wielkiej mierze ich kariera życiowa w przyszłości. Ważne więc jest otoczenie specjalną opieką dzieci pierwszego roku nauczania. Jako formy opieki nad dziećmi, które okazują się niedostatecznie dojrzałe do pełnienia obowiązku szkolnego, Komisja przewiduje tworzenie klas pomocniczych, świetlic, oraz przenoszenie dzieci do przedszkoli. Sprawa klas pomocniczych nie posunęła się dotąd naprzód. Projektuje się utworzenie w następnym roku szkolnym dwóch klas pomocniczych tytułem eksperymentu. Sprawa świetlic przedstawia się cokolwiek lepiej. Ministerstwo Opieki Społecznej ułatwia szkołom organizowanie świetlic, o ile po kilka szkół wspólnie zwraca się o to, ofiarowując lokal i jakąś minimalną wpłatę, np. po 10 zł. miesięcznie. Otrzymują za to świetliczan na 6 godzin dziennie i dożywianie dzieci. Do takich świetlic uczęszczać mogą nie tylko dzieci uznane, jako niedojrzałe szkolnie, ale i dzieci starszych klas, które nie mają opieki w domu. Pożądane jest, ażeby te szkoły, które nie mają w pobliżu przedszkoli, do których mogłyby skierowywać dzieci niedojrzałe szkolnie, postarały się o organizowanie świetlic. Przenoszenia ze szkoły do przedszkoli

dzieci niedojrzałych szkolnie napotyka też na pewne trudności. Aczkolwiek dzieci takie są zwalniane z opłat w przedszkolach na podstawie karty skierowania, wydanej przez psychologa, rodzice niechętnie godzą się na przeniesienie dziecka do przedszkola. Często się zdarza, że nie ma miejsc w pobliskich przedszkolach, albo nie ma przedszkola w pobliżu. Jeśli się nawet nie uda dziecka nigdzie pomieścić, to i tak nauczyciel i dziecko korzystają z orzeczenia psychologicznego. Nauczyciel wie bowiem, jak się ma ustosunkować do dziecka, czego od niego wymagać, no i może wytłumaczyć wobec władz brak dostatecznych postępów dziecka. Najważniejsze są jednak te wypadki, gdy dziecko wykazuje dostateczny rozwój umysłowy, a inne przyczyny utrudniają mu robienie należytych postępów. Te i inne przyczyny, leżące w charakterze dziecka, w jego warunkach domowych, w stosunku nauczyciela do niego itp. Trzeba wykryć i wyjaśnić rodzicom i wychowawcy, ażeby ułatwić dziecku prawidłowe przystosowanie się do szkoły.

Już w bież. roku szkolnym na podstawie okólnika p. Inspektora, szkoły po upływie 4 do 8 tyg. od rozpoczęcia nauki szkolnej zgłaszały do jednej z niżej podanych poradni pedologicznych dzieci, które okazały się w ciągu tego czasu jako mało rozwinięte. W następnym roku szkolnym zgłoszenia takie będą dokonywane przy pomocy odpowiednich kwestionariuszy, które można będzie otrzymać w Inspektoracie.

Druga sprawa, którą zajęła się Komisja, to sprawa szkół dla dzieci „trudnych", oraz sprawa selekcji dzieci do szkół specjalnych dla dzieci „trudnych". Mamy na terenie Warszawy trzy szkoły dla dzieci moralnie zaniedbanych: jedna dla dziewczynek, dwie dla chłopców.

Od początku przyszłego roku szkolnego powstanie jeszcze jedna szkoła dla chłopców. Ażeby jak najlepiej wykorzystać te szkoły, to znaczy, żeby dostosowały się do nich dzieci, które tego najbardziej potrzebują, Komisja postanowiła przeprowadzić selekcję dzieci do tych szkół. Wyłoniona podkomisja pracuje od roku nad ustaleniem kryteriów dla selekcji dzieci „trudnych", oraz wspólnych dla wszystkich poradni wytycznych dla badania tych dzieci. Już w bież. roku szkol., na podstawie okólnika p. Inspektora, szkoły zgłaszały do poradni dzieci „trudne". Po przebadaniu całego materiału zgłoszonego, psychologowie dokonają na podstawie przyjętych kryteriów wyboru tych, które trzeba będzie pomieścić w internatach szkół

specjalnych, oraz tych, które będą dochodziły do szkół specjalnych. Co do pozostałych, wyda się szkołom odpowiednie wyjaśnienia i wskazówki.

Od początku roku przyszłego miała również powstać szkoła na wsi (w Mieni) dla chłopców nerwowych, histerycznych, epileptycznych itp. Okazało się, że zrealizowanie tej sprawy odsuwa się jeszcze na rok.

Poza tym Komisja omawiała konieczną pomoc dla istniejących szkół specjalnych, ażeby one nie tylko odciążyły szkoły normalne od niepożądanego elementu, ale żeby mogły przeprowadzać istotną reedukację dzieci „trudnych". Uznano za konieczne wprowadzenie półinternatu dla tych, które nie są w internacie, ażeby mogły jak najdłużej pozostawać pod opieką szkoły, otrzymując jedzenie w szkole, zajmując się pracą ręczną w warsztatach oraz zorganizowanymi zabawami.

Wciągając do współpracy różne poradnie pedologiczne o charakterze społecznym, Komisja zorganizowała aczkolwiek w sposób jeszcze niedostateczny sieć opieki psychologicznej nad dziećmi szkół warszawskich.

Poradnie pedologiczne poza państwowym psychologiem działającym na terenie VII-go rejonu szkolnego, pobierają po 50 gr. za badanie dziecka niedojrzałego szkolnie, po 2 zł. za badanie dziecka „trudnego". Szkoły, które nie mogą uiszczać tych opłat, mogą korzystać z bezpłatnych badań w poradni Instytutu Higieny Psychicznej.

Następujące poradnie pedologiczne poza państwowym psychologiem szkolnym biorą udział w akcji opieki psychologicznej nad dziećmi szkół warszawskich:

1) Poradnia Instytutu Higieny Psychicznej, Puławska 91, tel. 9-55-19; 2) Poradnia I-go Ośrodka Zdrowia i Opieki, Puławska 91, tel. 8-35-16; 3) Poradnia Tow. Przyjaciół Dzieci, Elektoralna 6, tel. 6-34-35; 4) Poradnia „Toz", Gęsia 43, tel. 11-28-02 (tylko dla dzieci żydowskich).

Dekomasacja siódmej klasy.

Jednolity ustrój szkolny, w którym uczniowie z 6 oddziałów przy sprzyjających warunkach przechodzą do szkół średnich, stworzył konieczność rokrocznych komasacyj siódmych oddziałów. Zazwyczaj zabiera się dzieci ze szkól w środowiskach niezamożnych do szkół, gdzie większość uczniów szóstych oddziałów opuściła szkołę, przechodząc do szkół średnich. Szkoły dobrze zorganizowane i wysoko uposażone grupują uczniów zamożnych rodziców, a przez to są pozbawione przy dwóch równoległych oddziałach koniecznej liczby dzieci w siódmym (40 ucz.). W takich wypadkach zabiera się jeden siódmy oddział ze stron robotniczych i parceluje się żywy organizm społeczny. Tego rodzaju zwyczaj organizacyjny godzi w najbiedniejszy element uczniowski, który odepchnięty przy zapisach przez „zamożną" szkołę, jako uzupełniający siódmą klasę, jest wydziwiany, krytykowany z powodu jego poziomu wiadomości oraz licznych braków z różnych dziedzin. Nie trzeba dowodzić, iż lepiej uczyć dzieci rodzin zamożniejszych niż rodzin biednych. To też nie dziwimy się, widząc zapobiegliwość czynniejszych jednostek przy zapisach szkolnych. Trzeba jednak wyciągnąć z tego wnioski organizacyjne i stworzyć konsekwencję. Szkoła, która nie zgrupowała odpowiedniej liczby biedniejszej dziatwy, aby mieć własny siódmy oddział, nie może dekomasować pełnego siódmego równoległego oddziału w innej szkole.

Obawa przed utraceniem siódmego oddziału, który tak jest potrzebny: do samorządu szkolnego, do pomocy w wychowywaniu, przy dyżurach itp., skłoni wszystkie szkoły do ubiegania się, a przynajmniej jednakowego traktowania dzieci niezamożnych rodziców z zamożnymi.

W zakończeniu należy zwrócić uwagę na należyte ocenianie świadectwa siedmioklasowej szkoły powszechnej przez najszerszy ogół mieszkańców. Jest to cenzus naukowy wymagany przy angażowaniu niemal do wszystkich zawodów. Szereg szkół zawodowych, jak kolejowa w Warszawie, przyjmują ze świadectwem ukończenia 7 kl. szkoły powszechnej. Wreszcie w rozumieniu rodziców tkwi głębokie przeświadczenie, że dziecko coś ukończyło, że już może poszczycić się dowodem pracy zakończonej. Uczeń 7 kl. nie jest gorszej kategorii uczniem. Jest to kandydat na pełnowartościowego obywatela. Pobyt w siódmym oddziale to nie jest stracony rok.

Nie wolno dekomasować pełnych równoległych siódmych od-

działów na korzyść szkół, które bądź to nie potrafiły wychować sobie pełnego normalnego siódmego oddziału, bądź też, przeprowadzając niezdrową z punktu społecznego szkodliwą selekcję zarówno przy zapisach, jak w ciągu sześciu lat, przy posiadaniu dwóch równoległych szóstych oddziałów, nie posiadają własnego jednego siódmego.

Rozkomasowana klasa siódma, pomiędzy kilku szkołami bardzo dużo traci. Szkoła wraz z własną rozkomasowaną klasą przeżywa chorobę społeczną. Zarówno dzieci, które rozbiegną się, idąc na kursa wieczorowe — często zdyskwalifikowane — przestają się uczyć, bo mogą mieć ukończone 14 lat, jako też rodzice mają do szkoły żal. Gorycz powiększa niespełnione obietnice, poczynione w ciągu roku. Uczniowie klasy VI-b często dopytują się, czy będą odesłani do innych szkół. Tymczasem takie rozkomasowanie klasy zarządzone jest decyzją władzy nierzadko we wrześniu.

W ten sposób giną wartości, gromadzone przez sześć lat.

DIONIZA WIERCIOCHOWA

Na marginesie konferencji poświęconej sprawie wyboru zawodu przez młodzież, kończącą szkołę powszechną

Warszawska Izba Przemysłowo - Handlowa zorganizowała w dniu 13 maja b.r. konferencję poświęconą sprawie wyboru zawodu przez młodzież, kończącą szkoły powszechne.

Na konferencję przybyli przedstawiciele władz oświatowych z dyr. departamentu szkolnictwa zawodowego p. Firewiczem na czele, przedstawiciele sfer gospodarczych, nauczycielstwo szkół powszechnych, kierownicy poradni zawodowych oraz przedstawiciele prasy.

Prezes Izby, b. minister Klarner wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, iż zmiana struktury naszego społeczeństwa w kierunku odciągnięcia nadmiaru ludności rolniczej do zajęć miejskich jest podstawowym warunkiem postępu gospodarczego w Polsce.

Sprawa ta ściśle się wiąże z kwestią przygotowania zawodowego młodzieży. W chwili rozpoczynającego się, względnie skromnego jeszcze ożywienia gospodarczego, na wszystkich niemal odcinkach, brak jest wykwalifikowanych robotników techników, pracowników

handlowych. Brak jest fachowych kadr ludzi na poziomie stanu średniego, a równocześnie mamy nadmiar ludzi o wykształceniu wyższym intelektualnym.

Dlatego też zorganizowano konferencję, ażeby wytworzyć odpowiednią opinię wśród nauczyciestwa i rodziców, a następnie kierować młodzież do szkół zawodowych.

Zastanawiano się specjalnie nad dwoma dziedzinami pracy *handlem i gospodarstwem domowym.*

Refert o uzdolnieniach młodzieży w kierunku handlowym, ujawniających się już na terenie szkoły powszechnej, wygłosił dr Jan Gebethner, po czym wywiązała się ciekawa dyskusja, w której zgodnie podkreślono *konieczność przełamania uprzedzeń młodzieży i starszego społeczeństwa do kształcenia się dziewcząt w dziedzinie racjonalnego prowadzenia gospodarstwa domowego.*

Należy więc po ukończeniu szkoły powszechnej kierować dziewczęta do szkół przysposobienia w gospodarstwie rodzinnym, skąd wyjdą jako pracownice zawodowe (wykwalifikowane pomocnice domowe, gospodynie w zbiorowych gospodarstwach mniejszych i większych), mające zawsze możliwości do wyzyskania pracy, a z chwilą wyjścia za mąż, umiejące racjonalnie poprowadzić własne gospodarstwo domowe.

Kierowniczki poradni zawodowych stwierdzały jednogłośnie, że dziewczęta miejskie po ukończeniu szkoły powszechnej nie chcą iść do szkół przysposobienia w gospodarstwie rodzinnym, uważając przyszłą swą pracę, jako wykwalifikowanej pomocnicy domowej czy gospodyni za deklasację społeczną. Stwierdzono przy tym, że dziewczęta te nie wyniosły przyzwyczajeń kulturalnych w dziedzinie gospodarstwa domowego, ani z domu, ani nie nabyły ich w szkole powszechnej, choć niby w programie szkoły powszechnej nauka gospodarstwa domowego jest uwzględniona, ale prawie wcale, albo w mininalnych warunkach realizowana, gdyż władze oświatowe nie doceniają znaczenia tego ważnego odcinka życia i pracy.

Wprawdzie w programie szkolnym w kl. VI i VII-ej wprowadzono naukę gospodarstwa domowego, zaznaczając, że to jest dział przeznaczony wyłącznie dla dziewcząt, ale dodano „w szkołach posiadających odpowiednie warunki". Ten dodatek starczył, aby olbrzymia większość szkół nie miała odpowiednich warunków z tej prostej przyczyny, że się na to nie kładło nacisku, i że brak było odpowiednich nauczycielek ze specjalnym przygotowaniem.

Chcąc zaradzić temu zorganizowano na terenie Warszawy 12 pracowni w szkołach posiadających odpowiednie warunki lokalne i zaopatrzenie w sprzęt. Ale pracownie te obsłużyć mogą zaledwie 30 szkół. Przy czym dojazd ze szkół do tych pracowni jest utrudniony i w czasie i w przestrzeni; niejednokrotnie, aby móc pracować 2 — 3 godziny w pracowni, trzeba stracić 5 — 6 godzin łącznie przyjściem, czy przejazdem ze szkoły czy z domu i do szkoły.

Poza tymi 12-toma pracowniami, mieszczącymi się w szkołach powsz., jest jeszcze kilka pracowni przy różnych szkołach gospodarstwa domowego, do których najbliższe szkoły powszechne, nie posiadające odpowiednich warunków, posyłają dziewczęta klas szóstych i siódmych.

Największą taką centralną pracownią gospodarstwa domowego jest pracownia na Placu Trzech Krzyży. Obsługuje ona 12 szkół powszechnych i 1070 dziewcząt ćwiczy się w tej pracowni, sposobiąc się do przyszłych swych obowiązków.

— Niestety — pracownia ta z końcem bież. roku szkolnego będzie zlikwidowana. Jeśli zawczasu nie podejmiemy starań, na przyszły rok szkolny przeszło 1000 dziewcząt straci jedyne możliwości przysposobienia się do prowadzenia gospodarstwa domowego przynajmniej w minimalnej ilości. Na 160 szkół powszechnych żeńskich i koedukacyjnych z dziewczętami w klasach starszych, zaledwie 70 posiada jakie takie możliwości prowadzenia nauki gospodarstwa domowego, bądź we własnych pracowniach szkolnych, bądź w pracowniach innych szkół powszechnych, wreszcie w pracowniach przy specjalnych szkołach gospodarstwa domowego.

Jest to oczywiście zbyt mało, aby przełamać uprzedzenie społeczeństwa do zawodu gospodyni domu, aby wpoić kulturalne i higieniczne przyzwyczajenia, żeby nauczyć racjonalnej i ekonomicznej pracy przy prowadzeniu domu.

Kuchnia jest loboratorium, w której tkwią warunki zdrowia, życia i radości każdego człowieka. Jakże niestety mało się robi wśród starszego i młodszego pokolenia, aby pracę w tej kuchni uczynić bardziej pożyteczną i przyjemną, aby ją podnieść do godności zawodu szanowanego i uznawanego.

Jeśli chodzi o szkoły powszechne, to kładzie się nacisk na głupstwa nieraz, na takie czy inne zawieszenie obrazka na ścianie, ustawienie ekraniku w klasie itp. drobiazgi, a nie docenia spraw istotnie waż-

nych, bo obejmujących w przyszłości całą rodzinę, która przecież jest podstawą społeczeństwa i Państwa.

Pewnie, że kwestia estetyki jest ważną sprawą, dalszą jednak niż kwestia zdrowia, higieny w odżywianiu, dietetyki.

W szkole powszechnej nie nauczymy dziewcząt racjonalnej organizacji gospodarstwa domowego, bo nie ma na to czasu, ale wskażemy im drogę, po której same pójdą. W oczach dziewcząt kuchnia jest czymś pogardzanym; do kuchni odsyła się pogardzoną kobietę, jeśli się jej chce dociąć, że sią na innych rzekomo ważniejszych sprawach nie zna. Jeśli jednak w programie szkoły powszechnej w należyty sposób potraktuje się naukę gospodarstwa domowego, nie będą dziewczęta po ukończeniu szkoły powszechnej usuwać się od szkół gospodarczych, ale się będą tam garnąć.

Dla bardzo wielu dziewcząt szkoła powszechna jest jedyną uczelnią, jedyną szkołą przyspasabiającą je do przyszłych obowiązków, niechże one choć zobaczą, że są inne możliwości pracy i egzystencji, jeśli się tę pracę celowo rozłoży, rozplanuje, zracjonalizuje.

Jeśli dziewczęta w przeciągu dwu lat (VI-ta i VII-ma klasa) poduczą się gotowania najprostszych bodaj potraw; jeśli zrozumieją, co to jest zestawienie racjonalnych posiłków i ich kalkulacje z uwzględnieniem wartości i kosztów produktów oraz kosztów opału; jeśli się nauczą przygotowywania zapasów na zimę, przechowywania artykułów spożywczych na dłuższy okres, przy czym nauczą się je korzystać z odpowiednich podręczników, omawiających prowadzenie gospodarstwa domowego, to już jest dużo. Jeśli do tego nabędą jeszcze dobrych nawyków przy właściwym planowaniu i układaniu sprzętów i narzędzi pracy w kuchni, oraz utrzymaniu w czystości spiżarni, piwnicy i kuchni, to już da się dziewczętom bardzo dużo.

W uwagach do programów czytamy: „Prowadzenie nauki gospodarstwa domowego w szkole powszechnej ma na celu lepsze przygotowanie dziewczynek do przyszłych zajęć gospodarskich, a na razie zainteresowanie ich tymi często pogardzanymi przez nie zajęciami domowymi... Kurs nauki ma być raczej zapoznaniem z bardziej racjonalnymi metodami wykonywania codziennej pracy i ma pobudzić do praktykowania w domu metod poznanych w szkole".

Tymczasem połowa powszechnych szkół warszawskich nie ma wcale zorganizowanej nauki gospodarstwa domowego dla dziewcząt. 30% szkół prowadzi naukę gospod. dom. w niezbyt odpowiednich warunkach, a zaledwie 20% ma normalne warunki.

Są nawet szkoły, które posiadają odpowiednie urządzenia — to znów brak nauczycielki specjalistki.

Podkreślić trzeba, że stosunek rodziców jest bardzo życzliwy, że chętnie ponoszą oni koszty za zużucie produktów przy nauce, jeśli widzą efekty z pracy. Dlatego nie pomogą żadne deklamacje, że „od grosza wydanego przez gospodynię domu zależą handel, przemysł i rolnictwo". Do szkół przysposobienia w gospodarstwie rodzinnym nie pójdą dziewczęta po ukończeniu szkoły powsz., jeśli do pracy nie nabiorą zamiłowania w szkole powszechnej, jeśli, widząc w szkole inne warunki tej samej pracy, nie zapragną zreformować pracę we własnej kuchni, w domu.

Piękne jest hasło: „Każda Polka musi umieć obracać groszem dla pożytku swego społeczeństwa, swej rodziny i swego własnego. Wszyscy rozumiemy, że te kilkanaście miliardów złotych wydawane rocznie przez 6 — 7.000.000 gospodyń w Polsce musi być wydane *celowo, umiejętnie, rozumnie i oszczędnie*, ale *najpierw nauczmy te przyszłe gospodynie tej celowości, umiejętności i kalkulacji.*

Jeśli się twierdzi, że „*Ludzie słabi i chorzy nie wypracują lepszego bytu, ani nie obronią ojczyzny*", *a siły i zdrowie każdego polskiego żołnierza i polskiego pracownika zależą od umiejętnie prowadzonego gospodarstwa domowego w poszczególnych rodzinach*", to dlaczego się tę naukę gospodarstwa domowego już na pierwszym szczeblu nauczania lekceważy? Dlaczego nie ma jej w szkole powszechnej w takiej ilości, w jakiej przewidziana jest programami?.

Dlaczego władze oświatowe nie kładą na to nacisku? Chyba pracownia gospodarstwa domowego ważniejsza jest od gramofonu elektrycznego, jednak gramofony są, a pracowni nie ma.

Stajemy wobec organizacji nowego roku szkolnego, likwidacji centralnej pracowni gospodarstwa, reorganizacji szkolnictwa zawodowego, tworzenia nowych szkół przysposobienia w gospodarstwie rodzinnym i wreszcie — uprzedzeń (tkwiących w psychice społeczeństwa polskiego) do nauki gospod. domowego. Możeby tak władze oświatowe pomyślały teraz właśnie o zrealizowaniu programu z zakresu gospod. domowego, nawet tam, gdzie szkoła nie posiada odpowiednich warunków.

Przypominamy

o Nauczycielskim Klubie Sportowym

RENA PIETRAS-KIESIACKA

Praca kobiet w Z.N.P. i środowisku szkolnym

Czynny udział nauczycielek Z. N. P. jest tak nikły, iż należy dążyć do tego, aby stan ten uległ zmianie.

Praca oświatowo - społeczno - gospodarcza jest dla kobiet często b. niewdzięczna, zwłaszcza dla nauczycielek, gdyż to, co zdziała nauczycielka - społecznica z wychowaniem dziecka, często psuje dom. Należy wówczas wpłynąć na atmosferę wychowawczą domu. Tutaj mamy szerokie pole do działania. Trafiamy do serc matek przez dziecko.

Pracę tę należałoby realizować:

1) przez świetlicę, w której organizowanoby różne odczyty, kursy, dokształcanie matek, pogadanki, czy to spraw kobiecych czy gospodarstwa kobiecego dotyczące, wycieczki;

2) badanie środowiska, w którym się pracuje.

Chcąc zjednać sobie zaufanie matek, trzeba znaleźć wspólny pomost. — Początkowo odnoszą się do nas nieufnie, lecz po indywidualnych rozmowach — nabierają do nas zaufania.

Pracę społeczną t. zn. wychowanie, a życie społeczne, które jest współdziałaniem, należałoby podzielić na 3 gałęzie:

1) pracę w szkole, 2) oddziaływanie poprzez szkołę, 3) pracę wyłącznie poza szkołą.

Ponieważ liczba zorganizowanych kobiet jest jeszcze zbyt mała, należy dążyć do powiększenia liczby uświadomionych obywatelek. Widzimy takie przeogromne potrzeby w dziedzinie pracy wśród kobiet, a jest przecież tak dużo mogących pracować, że na wszystko starczyłoby nam sił, byle praca ta była jak najcelowiej zorganizowana.

Trzeba raz zerwać z tą tradycją, że kobieta nie zasiada w Zarządach.

Należałoby jak najszybciej zorganizować kursy organizacyjne dla koleżanek, celem zainteresowania ich pracą Związku — aby te później mogły działać w terenie. Masowy udział koleżanek w Zarządach — stworzy w Z.N.P. milszą atmosferę, jeszcze bardziej wzmocni organizację.

My kobiety, jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że możemy brać udział w pracy kobiet, a szkoła powszechna może

stać się ośrodkiem pracy społecznej w danym środowisku, jeśli się zbierze grono ludzi dobrej woli. Można przecież zorganizować: „Koło Matek", „Kolo b. Wychowanek", „Opiekę nad samotnymi dziewczętami" itp.

Wzmożona praca społeczna wśród kobiet wpłynie niewątpliwie na ruch organizacyjny kobiecy i może odegrać doniosłe znaczenie w społeczno - kulturalnym życiu Polski.

Możnaby stworzyć kilka działów pracy jak np.: 1) Wychowanie obywatelskie, 2) Opieka nad matką i dzieckiem, 3) Sprawy Kobiece, 4) Opieka nad młodymi dziewczętami.

Dobrze się stało, że Związek nasz powołał „Komisję do spraw pracy kobiet".

A więc w imię lepszej przyszłości wszystkie koleżanki, które mają dobrą wolę, ochotę i t. zw. „żyłkę społeczną" powinny stanąć do współpracy, aby nas najbliższe wybory nie zaskoczyły i abyśmy na równi i wspólnie z mężczyznami tworzyły Zarządy w poszczególnych komórkach organizacyjnych.

Ś. p. Maria Gaładykowa

Dn. 4 maja r. b. liczne grono kolegów, przyjaciół, dziatwa szkoły powszechnej Nr. 10 oraz koła b. wychowanek odprowadziły na Powązki, na wieczny spoczynek ś.p. Marię Gaładykową, emeryt. kierowniczkę szkoły Nr. 10.

Zasłużony to spoczynek po 50-iu prawie latach pracy pedagogicznej, a jednak żal serdeczny ściskał gardła obecnych i wilgotniały oczy, bowiem odszedł prawdziwy pedagog, który oddziaływał wychowawczo przez samą swoją obecność nawet wtedy, kiedy siły fizyczne już słabły i nie pozwalały na normalne pełnienie obowiązków kierowniczki szkoły.

Przy grobie Zmarłą żegnał Prefekt szkoły, ks. M. Cichocki, który we wzruszającym swoim przemówieniu podnosił chrześcijańskie cnoty ś.p. Marii Gaładykowej i niezwykłą pogodę ducha. W imieniu personelu nauczycielskiego przemawiała p. J. Gruberska, przypominając wszystkim, niezwykłą miłość dla dzieci i przyjacielski stosunek przełożonej do nauczycielek, dla których zawsze była wzorem i ostoją w trudnych momentach pracy wychowawczej.

W imieniu Zw. Naucz. Polsk. pożegnała Zmarłą kol. Al. Dargielowa słowami św. Tomasza: „Wiele czyni, kto wiele kocha. Wiele czyni, kto to, co czyni, dobrze czyni. Dobrze czyni, kto więcej dobru powszechnemu, niż własnej woli służy".

Istotnie „wiele kochać" musiała ś.p. Maria Gaładykowa, kiedy pracę nauczycielską zaczęła w 1886 r. wśród dzieci robotniczych najpierw w Markach pod Warszawą, po paru zaś latach w Warszawie przy ul. Rozbrat, a ostatnio przy ul. Nowolipie. Wiele miłości i poświęcenia wymagała praca wtedy, kiedy z każdą lekcją jęz. polskiego czy historii Polski trzeba było kryć się przed władzami zaborczymi.

„Dobrze czyniła" kol. Maria Gaładykowa, kiedy w okresie 1905 — 1906 r. brała bezpośrednio żywy udział w spolszczeniu szkół oraz oddawała swoją szkołę i swoje mieszkanie na zebrania konspiracyjne strajkującej młodzieży szkół średnich i kolegom - nauczycielom.

A życiem swoim całym dowiodła, że „więcej dobru powszechnemu, niż własnej woli służyła". Jako dzielna matka — Polka jest wzorem dla swych dzieci. Otóż córka ś.p. Marii Gałakowej, Peowiaczka odznaczona została krzyżem Niepodległości; syn, legionista, służy Polsce, jako pułkownik Wojsk Polskich. Wielu wychowanków i wychowanek brało udział w pracy Niepodległościowej. A w Związku Nauczycielskim Zmarła dawała swą pracę od 1915 r. aż do ostatnich tygodni swego życia.

Władze państwowe odznaczyły ś.p. Marię Gaładykową w 1932 r. Złotym Krzyżem Zasługi. My, nauczycielstwo Związkowe, dawno odznaczyliśmy Ją wielkim szacunkiem, a teraz żegnamy serdecznym wspomnieniem i zapewnieniem, że Jej postać długo zostanie w naszej pamięci.

Przy dźwiękach marsza Żałobnego, odegranego przez orkiestrę wojskową pułku, w którym służy syn Zmarłej, złożono do grobu Jej ciało, duch jednak napewno długo jeszcze pozostanie wśród tych, których tak „wiele kochała" i którym tak „wiele służyła".

Sprawy Organizacyjne i Różne

Przerwa

W czasie od 12 do 17 lipca włącznie z powodu urlopu urzędniczek kancelaria Oddziału nie będzie czynna.

W sprawie składek na pomnik Marszałka.

W związku z pismem Komitetu Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego z dnia 20 maja 1937 r. do Zarządu Głównego Z. N. P., ogłoszonym w „Głosie Nauczycielskim" Nr. 34, z dnia 30 maja 1937 r., zawiadamiamy, że począwszy od 1-go lipca 1937 r. dalsze potrącanie składek na Pomnik Marszałka Piłsudskiego zostanie wstrzymane.

Członkowie, pragnący nadal wpłacać ofiary na ten cel, zechcą je składać osobiście do kancelarii Oddziału lub wpłacać na konto Oddziału Nr. 10.410.

Zarząd Oddziału przekazywać będzie ofiary globalnie, bez podawania nazwisk poszczególnych ofiarodawców do Komitetu Uczczenia Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jednocześnie podajemy, że dotychczas członkowie Oddziału wpłacili na cel powyższy 4.937 zł. 45 gr., która to suma została przekazana Zarządowi Głównemu.

Składki na rzecz Komisji Kierowników.

Uchwałą Walnego Zebrania Kierowników z dnia 25 maja b. r., wszyscy kierownicy, członkowie Z. N. P., zaliczeni są w poczet członków Komisji Kierowników.

Z tego tytułu przy poborach lipcowych potrącimy 2 zł. jako składkę za miesiąc czerwiec i lipiec. Pieniądze te przeznaczone są na cele towarzysko-kulturalne członków Komisji.

Obiektywizacja egzaminów ustnych

Dnia 18. V. r. b. na konferencji kierowników rejonu VII w szk. powsz. Nr. 192 przy ul. Otwockiej 3 miał miejsce referat kol. Krzywińskiego Zyg. na temat: „Próba zobiektywizowania egzaminów ustnych", po czym nastąpił pokaz zobiektywizowanego egz. ustnego. Po ożywionej dyskusji zebrani powołali do pracy nad kwestią zobiek-

tywizowania egzaminów Komisję w składzie kol. kol. Buczowskiego i Krzywińskiego. Dn. 6 IV r. b. o podobnym porządku dziennym odbyła się konferencja kierowników rejonu V.

Z drugiego porozumiewawczego zebrania P. P. dyrektorów szkół średnich i kierowników szkół powsz. trzeciego rejonu

5 maja r. b. w lokalu gimnazjum przy placu Inwalidów odbyło się pod przewodnictwem P. dyr. Lubeckiej, drugie*) kolejne zebranie PP. dyrektorów szkół średnich oraz kierowników szkół powszechnych trzeciego rejonu. Na zebraniu obecny był również p. Inspektor Antoniewicz.

W toku parogodzinnych ożywionych rozważań zgodnie podkreślono, że zadzierzgnięcie bezpośredniego, na terenie klas, kontaktu pomiędzy wykładowcami pierwszych klas gimnazjalnych i szóstych oddziałów szkół powszechnych, wyjaśniło wiele wątpliwości, nasuwających się dotychczas w czasie egzaminów wstępnych do pierwszych klas gimnazjalnych. M. in. podkreślono różnicę w stawianiu zagadnień i metodzie podejścia do nich na gruncie szkoły średniej i powszechnej. W związku z tym został wyłoniony ze strony p.p. dyrektorów wniosek pewnej modyfikacji w wymaganiach przy egzaminach wstępnych do klasy pierwszej.

Poza tym zdecydowano nawiązany kontakt podtrzymać nadal, z tą jedynie różnicą, by na przyszłość nauczyciele szkół powszechnych odwiedzali pierwsze klasy gimnazjalne w terminie jesiennym, wykładowcy zaś szkół średnich przeprowadzali swe obserwacje w oddziałach szóstych szkół powszechnych raczej w ostatnich miesiącach r. szkolnego. Ci ostatni zwrócić też mają specjalną uwagę na rozwiązywanie w murach szkoły powszechnej zagadnień z dziedziny kulturalnej i spółdzielczej z tym, by oprzeć później na nich swe własne w tym względzie poczynania.

Zebranie i herbatka Kierowników

W dniu 25 maja b. r. odbyło się zebranie kierowników związkowców w lokalu szkoły przy ul. Leszno. Po odczytaniu protokółu z poprzedniego zebrania pan Al. Dąbrowski, prezes Stołecznego Ko-

---

*) Patrz numer Głosu Warsz. z lutego str. 173 — 176.

mitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży, poinformował zebranych o pracach Komitetu, a następnie dał szereg wyjaśnień na zapytania w dyskusji. Kierownicy zgłosili szereg postulatów pod adresem Komitetu. Podkreślano mocno spóźnioną porę akcji kolonijnej i półkolonijnej. Sprawozdania z delegacyj u władz szkolnych zdali kol. kol.: Derlikowski, Dobraniecki, Maciejczyk i Mamczar. Po konferencji odbyła się w b. miłym nastroju herbatka koleżeńska.

Tydzień Czystości

W szkole powszechnej Nr. 11 w czasie od 17 do 24 maja odbył się pod kierunkiem Dr. Franio tydzień czystości. Sporządzone wykresy wykazały najczyściejszą klasę. Na program tygodnia złożyły się aktualne rozmowy z dziećmi, wypracowania, układania haseł, rozdanie dyplomów czystości i nagród. W tygodniu wzięły udział firmy: Adamczewski (700 eksponatów), Majde (50, plus reklama), Jaworowski (blok mydła). Upalny tydzień umożliwił wszechstronną propagandę kąpieli. Pomimo sprzyjających warunków były dzieci uchylające się nadal od kąpieli w obawie przeziębienia się. Jest to przesąd w środowiskach robotniczych, z którym będzie można wygrać batalię zwycięską przy bardzo wyraźnej poprawie materialnej mas robotniczych. Tydzień czystości, jako próba zreasumowania dorobku szkoły w tej dziedzinie, wypadł na ogół zadawalająco. Może przyszły tydzień czystości, który będzie umieszczony w rocznym planie pracy szkolnej, da lepsze wyniki.

Bajka na scenie

„Baśń o królowej Róży" wyczarowały dziewczęta ze szkoły powszechnej Nr. 102 na scenie teatru Wielkiej Rewii dnia 23/V pod kierownictwem swojej utalentowanej nauczycielki p. Haliny Osińskiej. Barwne kwiaty, motyle, boginki leśne przesuwały się przed zachwyconymi oczyma obecnych na widowisku dzieci i skupionymi twarzami ich rodziców. Śpiew, tańce, gra sceniczna — stały na wysokim poziomie. Szkoda tylko, że mało było nauczycielstwa, które mogłoby zobaczyć, ile można wydobyć z dzieci, odwołując się do ich zamiłowania i zapału do pracy.

Podziękowanie szkole Nr. 183.

Kierownictwa i Rady Pedagogiczne Szkół Nr. 42 i 143 na Annopolu składają serdeczne podziękowanie Kierowniczce i Radzie Pe-

dagogicznej Szkoły Nr. 183 im. Generała J. Bema za zrzeczenie się materiałów piśmiennych, przyznanych Szkole Nr. 183 przez Stołeczny Komitet Pomocy Dzieciom, na rzecz ubogiej dziatwy szkół na Annopolu.

Zmiana lokalu Teatrów Ludowych.

Związek Teatrów Ludowych zawiadamia wszystkie zespoły teatralne, że z dniem 1 czerwca 1937 r. przenosi się do nowego lokalu przy ul. Sosnowej Nr. 9 m. 3.

PODZIĘKOWANIE

Składamy najserdeczniejsze podziękowanie wszystkim, którzy okazali nam współczucie i wzięli udział w pogrzebie nieodżałowanej Matki i Siostry Naszej ś. p. Marii Gaładykowej, a w szczególności przewielebnemu ks. prefektowi M Cichockiemu, Zespołowi Nauczycielskiemu, Opiece Szkolnej i Kołu byłych wychowanek Szkoły Nr. 10, pp. Kierowniczkom i Kierownikom Szkół Nr. 10, 119, 8 i 194, które ze sztandarami wzięły udział w pogrzebie, przedstawicielce Z. N. P. p. A. Dargielowej i p. J. Gruberskiej za głębokie przemówienia.

WŁ. ŻERDKA

TO i OWO

Ku pogodzie

Kończy się rok szkolny. Rozjedziemy się w różne strony. A że każde rozstanie budzi pewien smętek i refleksje, więc i ja jako od czasu do czasu korzystający z uprzejmości Redaktora Gł W. na odcinku „To i owo", muszę się wywnętrzyć i usprawiedliwić przed tymi, którzy mieli żal do Redaktora Głosu, choć to była moja „wina" za niektóre tematy w To i owo. Korzystam z tych skarg i relacji, cytując niektóre i wyjaśniając.

1. „Mikołajowe prezenty" w numerze grudniowym ubawiły wiele osób; wiele też osób prosiło o wyjaśnienie znaczenia prezentów, złożonych w Inspektoracie szkolnym (jajka i schab z kością pacierzową). Ponieważ dowcip objaśniany przestaje być dowcipem, więc też wyjaśnień nie było, a teraz są już spóźnione

i zbędne, ponieważ w Inspektoracie po dyskusji wśród zainteresowanych na temat znaczenia i podziału prezentów ustalono, że te prezenty są złośliwe, szczególnie wobec płci męskiej tej instytucji. Ze zrozumiałych względów „prezenty" zostały nietknięte, a cel ich chybiony, bo wszystko zostało po dawnemu. Ale to nie moja wina.

2. Wielkie poruszenie wywołał „Polityk". Z tej racji odbyło się podobno nawet kilka pojedynków nie krwawych. Zdarzało się bowiem, że bliźni A w „Polityku" widział dokładny obraz bliźniego B, o czym nie omieszkał zakomunikować w odpowiednio złośliwy sposób nie tylko bliźniemu B, ale i setce jego znajomych. A znów polityk B nie mógł wyjść z podziwu i wdzięczności dla autora „Polityka", że tak trafnie odmalował sylwetkę p. A. Tak samo rozumowali pp. C, D, E itd., więc też Redaktor Głosu miał za swoje. Ktoś na usprawiedliwienie, że to nie o niego chodzi w „Polityku" tak pisze: — Nieprawdą jest, że urządziłem akademię pośmiertną dla swego zwierzchnika, który jeszcze nie umarł; nieprawdą jest, że akces do O. Z. N. zgłosiłem telefonicznie w czasie odczytywania deklaracji przez pułk. Koca, natomiast jedynie prawdą jest, że robiłem próby akademii żałobnej, ponieważ zwierzchnik mój był poważnie chory, i prawdą jest, że do O.Z.N. zgłosiłem się z 8-miu organizacyj a nie z 15-tu i nie w czasie odczytywania deklaracji lecz w 5 minut później i nie telefonicznie, tylko telegraficznie".

W porządku!

Ktoś inny pisze znowu: — Wiem, że to do mnie pije autor „Polityka". Nieprawdą jest jednak, że dzieci wyskakiwały ze strachu oknami, bo w oknach są kraty. Owszem, zgłosiłem się do O.Z.N. bo organizacja ta ma te same litery, co i nasz Związek (O. Z. N. — Z. N. P.). I uważam, że w imię „konsolidacji" te różnice literowe należałoby usunąć „co rychlej". Też problem!

Panów: F., G., H., I., J., K i jeszcze innych do litery W włącznie informuję, że nie tylko o nich jest mowa w „Polityku". To samo dotyczy „sektora" praskiego.

3. „Imieniny na Zamku" też odbiły się mocnym echem, gdzie należy. Kilkanaście korpulentnych pań, które były na owych imieninach, tłumaczą się przed Redakcją, że z racji swego wieku miały prawo do zjedzenia po te 5 kawałków tortu i po 10 ciastek.

Ktoś inny oburzony za „imieniny" wybrał się z „kijem" do Redakcji Głosu W., ale nie doszedł, bo po drodze rozbroiła go

młodzież uniwersytecka, zużytkowując pałkę do aktualnych celów „narrrodowych".

Listów i wyrazów wdzięczności Czytelników za omawiane tematy w „To i owo" nie cytuję, aby wszyscy, którzy mają żal do mnie czy do Redakcji, wyjechali na wakacje w pogodzie ducha. A więc do września!

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie 35. Tel. 5-87-29.

Członkowie Oddz. Warszaw. Zw. N. P. otrzymują „Głos Warszawski" bezpłatnie. Prenumerata „Głosu Warszawskiego" wynosi: rocznie 5 zł., półrocznie 3 zł. numer pojedyńczy — 50 gr.

Cena ogłoszeń: Cała strona 100 zł., 1/2 str. 50 zł., 1/4 str. 30 zł., 1/8 str 15 zł. Drobne po 10 gr. za wyraz

Redaktor odpow. oraz wydawca z ramienia Zarządu Oddz. Warszaw. Zw. N. P.
STANISŁAW DOBRANIECKI.

REDAKCJA RĘKOPISOW NIE ZWRACA.

Druk. „SPOŁECZNA", Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.